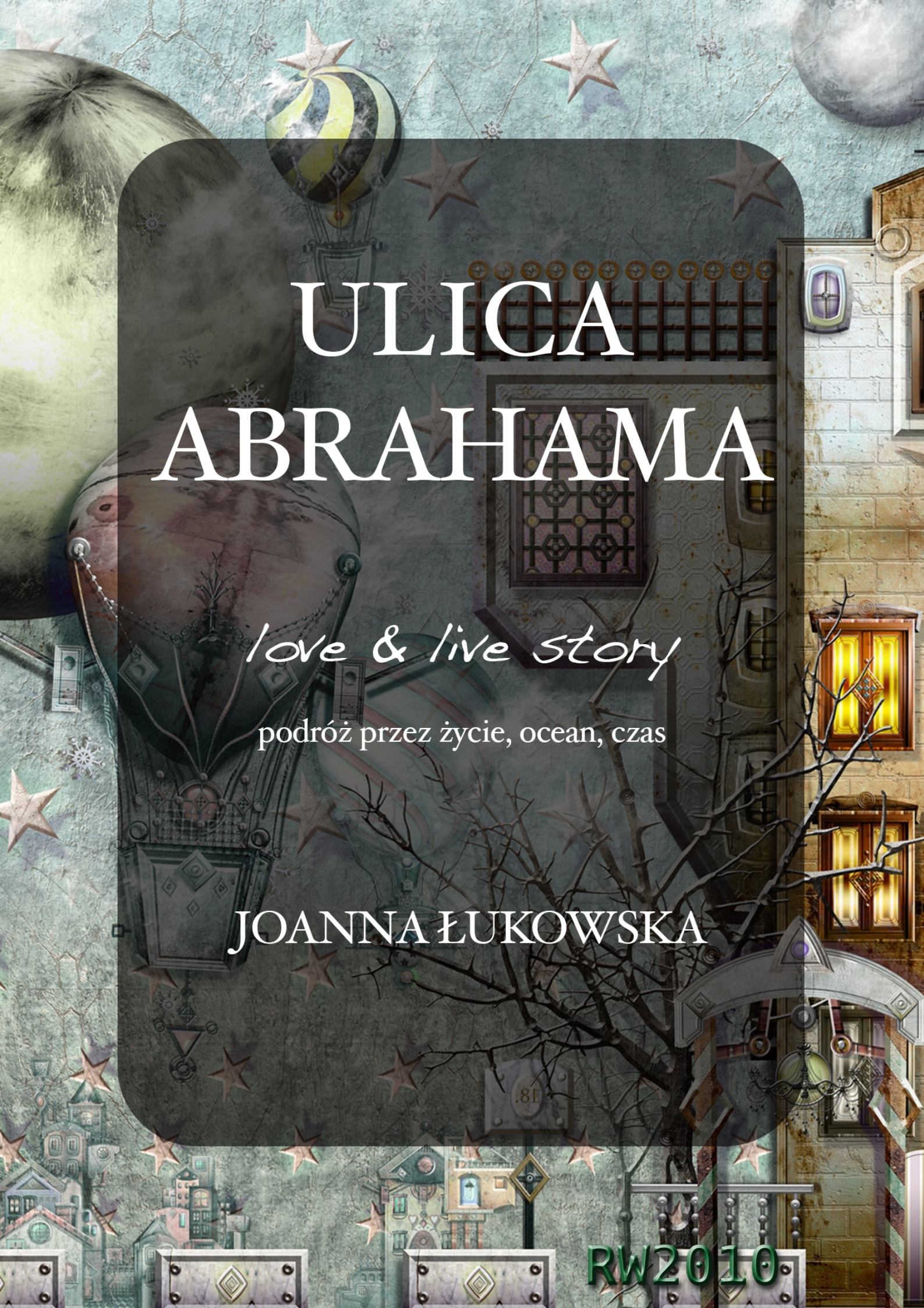




ULICA ABRAHAMAMA

love & live story

podróż przez życie, ocean, czas

JOANNA ŁUKOWSKA

RW2010

JOANNA ŁUKOWSKA
ULICA ABRAHAMA

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja Maciej Śłużyński

Korekta Natalia Szczepkowska

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Joanna Łukowska 2013

Okładka copyright © Mateo 2013

Layout okładki copyright © Katarzyna Woźniak

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

ISBN 978-83-63598-55-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

Część pierwsza

Dawno temu w Europie...

Nikt z mieszkańców nie wiedział, jak naprawdę nazywała się ich ulica. Wszyscy od niepamiętnych czasów nazywali ją po prostu ulicą Abrahama. Powód? Od ponad półtora wieku niemalże połowa budynków na tej ulicy należała do Abrahama Zimmermana. Nie znaczy to oczywiście, że przez te wszystkie lata był to jeden i ten sam Abraham Zimmerman. W gruncie rzeczy nie znaczy to nawet, że kolejni spadkobiercy nosili to samo imię. Po prostu tak się złożyło, że choć w księgach wieczystych figurowało sześciu różnych Zimmermanów, to w historii ulicy Abrahama tylko dwóch – pierwszy i ostatni – znaczyło coś naprawdę.

Albowiem to oni ją stworzyli. Pierwszy z nich ulepił jej ciało z gliny i kamienia, a drugi nappełnił to ciało życiem – tchnął w nie duszę, wskutek czego to, co martwe, stało się istotą żywą...

A imię ich było jednakie, a imię ich brzmiało: Abraham.

Abraham ben Juda Zimmerman, zwany też Fotografem, ponad sto pięćdziesiąt lat temu wraz z żoną Izebel, trzynastoletnim synem Jakubem, dziesięcioletnim synem Józefem i ośmioletnią córką Sarą, wyruszył w drogę. W trakcie podróży, trwającej blisko rok, pokonał setki kilometrów, przebył tysiące mil morskich, cierpiał niewygody, pilnie wystrzegał się złodziei, narażał na niebezpieczeństwo, chorował, a wszystko po to, by przybyć tutaj, do Ameryki – tego nowego kraju wygnania, który tym różnił się od poprzedniego, że był młody, ogromny i czasami spełniały się w nim marzenia.

Abraham miał marzenia. Chciał tworzyć; jeżeli już nie co innego, to przynajmniej własne życie. Nie zbywało mu na inteligencji, nie brakowało odwagi;

bez lęku i wątpliwości patrzył w przyszłość, którą zamierzał sam wykreować. Miał nadzieję, a raczej pewność, iż dopnie swego, jednak dla jego konserwatywnej, kupieckiej rodziny plany te były zbyt śmiałe, a pragnienia zbyt ulotne, aby traktować je poważnie.

Zimmermanowie od wieków żyli w Niemczech i – pomijając poniżenia, prześladowania, pogromy, jednym słowem całą gorycz tej gościny, wynikającą z głęboko zakorzenionej niechęci do Żydów i wszystkiego co żydowskie, która wśród chrześcijan jest równie mocno rozpowszechniona jak czarny kolor skóry wśród mieszkańców Afryki – wiodło im się całkiem nieźle. Owszem, byli ortodoksami, i to nie tylko w kwestiach wiary, bezwzględного przestrzegania zasad *halachy* i osobistych uprzedzeń względem nie-Żydów, ale przecież nie brakowało im sprytu oraz przebiegłości (inaczej nie osiągnęliby pozycji, jaką zajmowali). W gminie, do której należeli, uchodzili jeśli nie za bogatych, to przynajmniej za bardzo dobrze sytuowanych. Cieszyli się powszechnym szacunkiem i poważaniem. Co ciekawe, nie tylko wśród swoich współwyznawców – choć oczywiście żaden snobistyczny goj nie przyznałby się publicznie, że docenia osiągnięcia jakiegoś tam brodatego Żyda, żyjącego z „handelku”.

A rodzina Zimmermanów z dużym powodzeniem zajmowała się handlem. *Zimmerman i synowie* – taki szyld widniał na dużym składzie artykułów kolonialnych oraz na sklepie bławatnym zaopatrzonym w sukna wszelakie, najrozmaitsze dodatki krawieckie oraz stoisko z wyszukaną galanterią. Niewielki szyld mieścił się także nad drzwiami skromnego, położonego na uboczu kantoru, istnienia którego albo w ogóle nie było się świadomym, albo trafiało się doń z zamkniętymi oczami. Właśnie tutaj, od lat, by nie rzec od wieków, spokojnie, cichutko, nie przejmując się ewentualnymi plamami na honorze (w myśl zasady, że żadna praca nie przynosi hańby, o ile tylko przynosi zysk), Zimmermanowie trudnili się lichwą; tym pogardzanym przez szlachetnych Europejczyków zajęciem, a jednocześnie przez długi czas jedynym,

jakim w swej chrześcijańskiej łaskowości pozwalali się parać Żydom. Nic dziwnego, że mając za sobą tyle lat nauki i doświadczeń (przez niektórych później skrzętnie wykorzystanych w bankowości i finansach), synowie Dawida uczynili z tego fachu sztukę. A Zimmermanowie należeli do prymusów w swojej klasie. Był to jedyny rodzaj działalności twórczej, jaki tolerowali. Nigdy nie splamili się posiadaniem w swoim gronie jakiegoś, pozał się Boże, artysty! Dopiero Abraham, oby Bóg mu wybaczył, dopiero on...

Od najwcześniejszego dzieciństwa Abrahama pasjonowały dwie rzeczy: malarstwo i wynalazki. Jahwe nie obdarzył go co prawda talentem ani w jednym, ani w drugim kierunku, ale w niczym to nie umniejszało jego pełnego zapалу upodobania do rysowania i wynajdywania. Poza tym, pomimo braku wielkich zdolności, przejawiał niejaką biegłość w portretowaniu, a ponadto nie można mu było odmówić posiadania owej cennej umiejętności łapania w lot wszelkich niuansów technicznych, dotyczących budowy oraz działania najrozmaitszych, najbardziej dziwacznych urządzeń, maszyn czy pojazdów.

Ku rozpaczy rodziny zainteresowania Abrahama bywały niezwykle uciążliwe. Chłopiec wciąż znikał, nieraz na całe godziny, i nikt dokładnie nie wiedział, co w tym czasie porabia. Wbrew wszelkim zasadom, łamiąc szereg zakazów, nie przejmując się ewentualnymi karami, wymykał się z domu i biegł Bóg wie gdzie. Może do galerii, muzeum bądź na jakąś nową wystawę? Ten chłopak umiał się wcisnąć dosłownie wszędzie; wyrzucali go drzwiami, a on – niezrażony – wchodził oknem. Może znowu zaczepiał dzieci na ulicy? I to czyje?!... Czy jemu naprawdę nie wystarczały własne obyczaje? Czy musiał wiedzieć wszystko o wszystkich? Dlaczego nie chciał zrozumieć, że spoufalanie się z gojami do niczego dobrego nie prowadzi? Czemu nie zniechęcały go złośliwości i szturchańce, którymi niejednokrotnie go częstowano?

Nic sobie nie robił z zasad, ale godność...? Jakże mógł o niej zapomnieć? Czy smutna historia własnego narodu niczego go nie nauczyła?

A może znowu poleciał do księgarni tego przekłętego Szkota, McGregora, który nie dość że nie był Żydem, to na dodatek miał tytuł doktora nauk przyrodniczych, a w chwilach wolnych bawił się w filozofa? To on uczył Abrahama rzeczy, które młodemu pobożnemu Żydowi do niczego się nie przydadzą – nie mogą się przydać! – i ostatecznie jedynie mu zaszkodzą.

Bóg jeszcze ukarze tego przekłętego *nochri* za to, co zrobił ich rodzinie!

Tak więc Abraham znikał i nic na to nie można było poradzić. Gdybyż tylko tyle! Niestety, kiedy nieznośny chłopak trafiał wreszcie do domu, pojawiał się nowy problem. Z nim po prostu nie dawało się wytrzymać! Potrafiłby zadreczyć każdego, doprowadzić do szału nawet świętego. Doprawdy, sam król Salomon zważyłby przy nim w swoją biblijną mądrość!

Kiedys przez cały miesiąc Abraham raczył umęczoną rodzinę opowieściami o Leonardzie da Vinci, którego podziwiał za wszechstronność umysłu i wielkość talentu.

– Jakim on był wspaniałym malarzem!... A przy tym jakże nieustrudzonym wynalazcą! – piał z zachwyty.

Zwyczajnie buzia mu się nie zamykała; nawet w nocy – kiedy to przez sen mamrotał coś o *fumato*, studium twarzy i perspektywie linearnej. A potem znowu – za dnia – ze swadą, rumieńcami na policzkach i obłędem w oczach rozprawiał o łodziach poruszających się pod wodą, machinach latających w powietrzu i ludziach chodzących po Księżycu. Ni z tego, ni z owego rzucał tajemniczo brzmiące słowa i określenia: samobieżny pojazd Cugnota, *laterna magica*, układ kierowniczy Du Queta, grawitacja, skrzynia biegów Griffitha, parowóz, elektryczność... Nikt nie miał siły ani ochoty, by dzień w dzień, noc w noc wysłuchiwać tych samych bredni. Ojciec

w końcu się zdenerwował: nazwał te wszystkie wynalazki wymysłami szatana, które służą wyłącznie męczeniu w głowie niedowarzonemu chłystkom. Chłopiec próbował tłumaczyć, że choćby taka siła grawitacji wcale nie jest wynalazkiem, jako że zawsze była, jest i będzie... Ale to tylko jeszcze bardziej rozzłościło Jude Zimmermana. Kategorycznie zabronił Abrahamowi się tym zajmować i oświadczył, że jeżeli jeszcze raz zobaczy w jego rękach książkę o tematyce innej niż religijna, to osobiście ją spali.

Lecz czy można komuś zabronić myśleć? Czy można młodości zakazać dociekliwości? Czy uda się bezkarnie zakręcić kurek wiedzy, oczekując, że ów wielki jej głód sam wygaśnie? Czy można zabronić ustom zadawać pytania, a oczom szukać odpowiedzi? Jeżeli żyje się na tym świecie odrobinę dłużej niż pchła na grzbiecie psa, wtedy ma się uzasadnione podstawy, by w to wątpić.

Również w przypadku Abrahama groźne słowa jego ojca okazały się wyłącznie czerzą pogroźką. Nie sposób okiełznać żywiołu – zwłaszcza gdy jest to żywioł dziecięcej ciekawości. Bowiem chłopiec był jak ogień. Trawił – czytając – dokładnie wszystko, co mu wpadło w ręce. Trzeba by go chyba związać i zamknąć w ciemnicy, by mu w tym przeszkodzić. Nie gardził gazetą wyrzuconą do kosza, zabłoconym i naddartym czasopismem, zmoczoną książką, która leżała zapomniana na ławce w parku, czy nawet kilkoma stronami taniego romansidła, w które straganiarka zawinęła śledzie. Po prostu czytał – to było jak nałóg. Czytał wszystko, dużo, wszędzie...

Czytał w jidisz, po hebrajsku, aramejsku, wcale dobrze po niemiecku i trochę po angielsku. To ostatnie – okraszone bogatą znajomością niecenzuralnych szkockich przerywników, zastępujących co poniektóre „angolskie” kropki – zawdzięczał owemu przekłętemu McGregorowi, który niedaleko getta, zaledwie kilka ulic od domu Abrahama, prowadził niewielką księgarnię.

Po raz pierwszy spotkali się, kiedy żydowski chłopiec przytykał swój nos do szyby księgarni i wpatrywał się w książki na wystawie z głodem w ciemnych oczach. Wyglądał jak mały mól, który nie jadł od miesięcy i teraz syci się samym widokiem książkowego pastwiska. Angus McGregor może nie wygrałby konkursu na najmilszego Szkota roku, ale miał miękkie serce i umiał rozpoznać bratnią duszę, nawet jeżeli była ona całkiem mała, a na cielesnej głowie nosiła jarmułkę.

Angus, nie namyślając się wiele, zaprosił chłopca do środka i zapytał, czy – jeżeli oczywiście nie ma nic innego do roboty – nie zechciałby mu pomóc w rozpakowaniu książek, które akurat przyszły. Abraham najpierw zbladł – zaskoczony i lekko przestraszony – jako że nie był przyzwyczajony do takiej uprzejmości, do takiej, można by powiedzieć, podejrzanej życzliwości. Pomyślał, że to żart albo że się zwyczajnie przesłyszał. Ale stary, wąsaty Szkot nie wyglądał na żartownisia, a z kolei uszy Abrahama były w jak najlepszym porządku – mama mu je rano umyła i to bardzo dokładnie. Chłopiec bezwiednie dotknął różowego, nieprzyzwoicie czystego ucha i aż się skrzywił na wspomnienie nieprzyjemnego szorowania.

Co do McGregora, to widząc rozterkę Abrahama, uśmiechnął się – nie złośliwie czy przewrotnie – ale życzliwe i zachęcająco. Teraz dla odmiany Abraham poczerwieniał. Zupełnie zapomniał o uszach, a jego oczy zabłysły niczym u młodego wilka. Wyczuł trop i coś mu mówiło, że to prawdziwy zając, a nie zwodnicza przynęta na takie młode, głupie wilczki jak on.

Wchodząc do ciemnej księgarni Angusa McGregora, pachnącej mądrością, kurzem i tytoniem, chłopiec czuł uniesienie równe temu, jakie musi odczuwać pobożny Żyd przekraczający progi bóżnicy.

Młody i stary człowiek szybko zostali przyjaciółmi. Ufali sobie, lubili się, a otaczający ich świat nie wydawał się im już ani tak obcy, ani tak wrogi jak przedtem. Jednocześnie przecież nie stracił nic ze swojej atrakcyjności – wręcz przeciwnie. Bo

dobrze jest być odkrywcą, ale jeszcze lepiej – odkrywcą, którego przestała tropić samotność.

Abraham pomagał Angusowi, i to nie tylko w rozpakowywaniu, przenoszeniu czy odkurzaniu książek. Nie chodziło nawet o czyszczenie i nabijanie fajki, którą Szkot uwielbiał pykać; właściwie robił to na okrągło – cały pachniał tytoniem, zawsze otaczał go aromatyczny kłęb dymu, który szedł za nim krok w krok, unosił się wokół, krążył, nawarstwiał latami, mieszał ze wszechobecnym kurzem, odkładał na półkach, wsiąkał w karty książek... Abraham nigdy już nie zapomni tego zapachu. Do końca życia tytoniowa woń niewielkiej, ciemnej księgarni Angusa kojarzyć mu się będzie z przyjaźnią, mądrością i dzieciństwem.

Abraham lubił specyficzny aromat księgarni, podobnie jak lubił zajmować się fajką McGregora.

– Zrobiono ją z korzenia wrzośca. Spójrz, jaka jest delikatna, jaka piękna... – przyciszony głos starego Szkota wyrażał coś więcej niż zachwyt. – Opiekuj się nią dobrze. Ona potrzebuje ciepła i troskliwości. Potrzebuje twoich sprawnych palców, moje – pogrubione artretyzmem stawy mężczyzny zadrżały lekko – są dla niej za stare...

Abraham nie zawiódł. Angus nie znalazłby lepszego opiekuna dla swojej małej przyjaciółki. Drobne ręce chłopca dotykały jej z przyjemnością, gładziły z jakąś powolną czułością, którą – gdyby był choć odrobinę starszy – można by nazwać pieszczotą.

Jednakże najistotniejsza, czy raczej dająca się od razu zauważyć, pomoc Abrahama dotyczyła sprawy o wiele bardziej prozaicznej, nudnej i nagłej zarazem, a mianowicie rachunków. Liczący sobie dopiero dziewięć lat Abraham uporządkował bałagan panujący w księgach McGregora – panoszący się tu chyba od czasów biblijnego potopu – a potem właściwie przejął na siebie obowiązek ich prowadzenia. Zresztą szybko okazało się, że robi to o wiele lepiej, niż Angus kiedykolwiek

byłby w stanie. Cóż, stary McGregor – jak sam się tłumaczył, prychając i podkreślając wąsa – zwyczajnie nie miał głowy do cyferek.

Angus zaś pomagał Abrahamowi... nie tracąc cierpliwości. Po prostu. Zawsze miał czas i ochotę, by poradzić chłopcu, którą książkę warto przeczytać, by podyskutować z nim o tym, co już zdążył przeczytać, czy wreszcie odpowiedzieć na kolejną setkę pytań, którymi Abraham zasypywał go za każdym razem, gdy się widzieli. A nie był on łatwym rozmówcą; prawdę mówiąc, najgorszym z możliwych: ciekawskim dziesięciolatkiem, niecierpliwym, zachłannym i dociekliwym aż do obrzydzenia.

– **D**laczego ty właściwie nie jesteś Żydem?

Abraham milczał od dobrych pięciu minut, Angus mógł się więc spodziewać jakiejś rewelacji; ale tym razem chłopiec zaskoczył nawet takiego starego wygę udzielania odpowiedzi jak on. Mówiąc krótko, McGregora zwyczajnie zatkało.

– Hmm... – Podrapał się w głowę. – Hmm, dlaczego... – Zwlekał, czując zupełną pustkę w głowie. – Tak, pytanie zgoła filozoficzne... Na miarę samego Sokratesa, rzekłbym nawet. Hmm, ale tak w ogóle, mój mały, to o co konkretnie ci się rozchodzi?

– Konkretnie rozchodzi mi się o to, że jesteś dobrym i mądrym człowiekiem.

– Tak... To wiele tłumaczy... Nie będę zaprzeczał... – Angus skubał wąsa, wydymał wargi, ruszał brwiami... Dumał. – Może jesteś głodny, co? – zapytał z nadzieją.

– Nie, tak, potem... Widzisz, mój ojciec jest osobą bardzo mało komunikatywną, więc jeżeli ma się komunikować ze mną...

– Komunikować.

– No właśnie. On się ze mną w ogóle nie komunikowuje.

– Nie komunikuje. Prościej: nie gada z tobą, bo dostaje szału.

– Co?

– Nic. Komunikuj się ze mną dalej.

– Kocham mojego tatę, ale on bez przerwy wygłasza komuny...nały. Komunały. No takie wiesz, że życie to nie zabawa, nie pyskuj ojcu, studiuj Torę, szanuj obyczaje, dochowuj tradycji, goje to kanalie, nie interesuj się...

– Nie wierzę, żeby twój ojciec powiedział coś takiego.

– Ależ on bez przerwy to mówi. Nie interesuj się tym, nie interesuj się tamtym, to nie twoja sprawa...

– Nie wierzę, żeby powiedział o tych kanaliach. Nie znam go co prawda, ale raczej nie sądzę, żeby aż tak brakowało mu tolerancji.

– Tolerancja? Choroba, do „t” jeszcze nie doszedłem, na razie jestem na „k”.

– To się słyszy – wtrącił Angus, który na swoje nieszczęście, chyba w jakiejś chwili zaćmienia umysłu, uświadomił Abrahamowi istnienie słownika: grubej, strasznej rzeczy pełnej nowych, fascynujących słów.

– No może dokładnie tak nie powiedział, ale to miał na myśli, ja go znam. Jego poglądy to autentyczny kataklizm. Chce mnie bez przerwy kontrolować. Wciąż wypytuje, gdzie byłem, co mówiłeś i po co cię słucham. Ale niech ja go o coś zapytam – udaje głuchego. Albo nie daj Boże, żebym się z nim kardynalnie nie zgadzał w jakiejś kweście. Kwestii. Wtedy obrzuca mnie kolumnami, że aż przykro się robi.

– Czym cię obrzuca? Chyba kalumniami. Ale nie, dosyć tego. Teraz, mój drogi, albo zaczniesz gadać normalnie, bez żadnych konstruktywnych kalkulacji, albo ja cię obrzucę kolumnami, kariatydami i kaneforami na dokładkę. Jeżeli chcesz się ze mną pokomunikować jeszcze trochę, to przestań się popisywać.

– Ja się nie popisuję! – zaprotestował gorąco Abraham. – Ja próbuję. Jak brzmi, czy pamiętam i w ogóle. A co do tego, że jesteś dobry i mądry, to nie prawilem ci czczych komplementów, ja tak napra...

– Abraham, ostrzegam cię.

– ...ja tak naprawdę myślę – dokończył niezrażony chłopiec. – Jesteś dobry i mądry. Ale ze słów mojego taty wynika, że wszyscy dobrzy i mądry ludzie to Żydzi, a on z reguły nie kłamie. Ergo, powinieneś być Żydem. Ale nie jesteś. Dlaczego?

– Bo jestem Szkotem. Czy taka odpowiedź cię zadowala?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że miał na myśli wszystkich...

– Proponuję, żebyś zapytał swojego tatę, czy mówiąc to, co mówił, mówił także o Szkotach. Nie jesteśmy wielkim narodem, żyjemy sobie w górach, łatwo o nas zapomnieć. Zapytaj, czy i on przypadkiem o nas nie zapomniał.

– Zapytam.

I zapytał, czym zresztą dokumentnie zepsuł humor swojemu tacie na resztę dnia.

Co zaś do Judy Zimmermana, to gdyby tylko zdobył się na odwagę, przyznałby bez wahania, że pytania najmłodszego syna napawają go lękiem. Gdy widział w oku Abrahama ten specyficzny, coś jakby diabelski błysk zaintrygowania, niezbicie świadczący o nadciągających kłopotach, miał ochotę schować się w mysia dziurę.

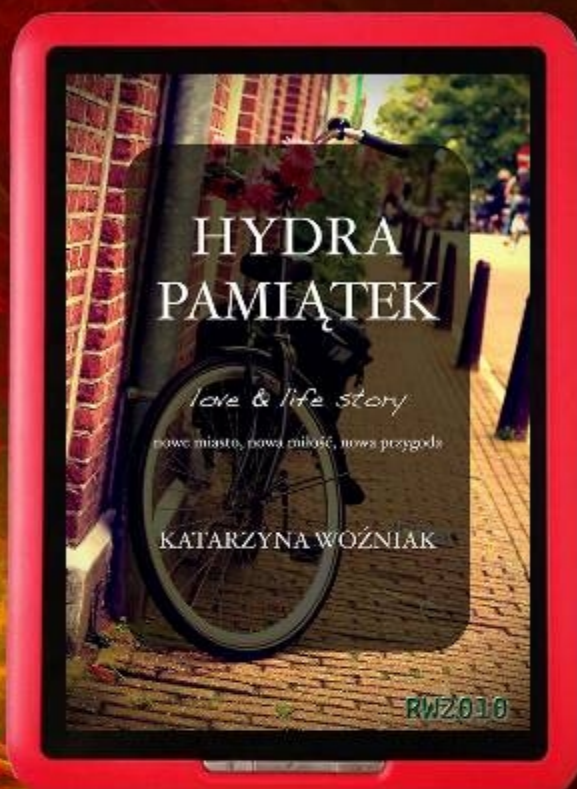
Nigdy nie było wiadomo, z czym ten dzieciak wyskoczy. Mógł zapytać o cokolwiek, na przykład: skąd się biorą dzieci albo czy można kłamać i jednocześnie nadal pozostawać uczciwym człowiekiem. Dokładnie tym samym tonem rozprawiał o potrzebie gimnastykowania, zarówno ciała jak i umysłu („tak, tak, dokładnie tych słów użył, ale na pewno sam tego nie wymyślił!”), co o problemach z cerą swojego starszego brata (źródła kłopotu upatrywał w nieodpowiedniej diecie Saula, który jego zdaniem powinien zrezygnować z ostrych przypraw). Skąd on brał te informacje? Wiadomo skąd! Od przeklętego Szkota. Po co z cudzym synem gadał, z nie swojego rodu, z nie swojej rasy? Po co w nim niestosowną ciekawość rozwijał, różnorakie książki podsuwał? Żeby potem rodzina miała kłopot z gaszeniem owej ambarasującej dociekliwości? Dlatego Juda wylewał z siebie potoki słów, może nie zawsze do końca przemyślanych, ale na widok Abrahama, zbliżającego się z głodem wiedzy w

oczach, panikował i wołał uprzedzić atak. A gdy mu się nie udało, i pytanie padało, umykał w złość, pretensje. Zionął niezadowoleniem i nieświadomością do końca zazdrością, szukając tylko pretekstu do zerwania tej dziwacznej, irytującej znajomości Abrahama, jego syna, z obcym, i do tego gojem.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

Na każdą kieszeń na każdy czytnik

Nowe miasto, nowa miłość, nowa przygoda. Czy karierowiczka może zostać artystką? Czy pełna kompleksów kobieta może rozkochać w sobie mężczyznę śmiało podążającego za swymi marzeniami? Czy Anna też się na to odważy. Czy odnajdzie w Amsterdamie szczęście?



Kości umarłych domagają się głosu. Pewne tematy, choć tak straszne, iż chciałoby się zamieść je pod dywan, muszą zostać poruszone. W przeciwnym razie będą cię do końca życia nawiedzać w snach. Przekonuje się o tym dziennikarz prowincjonalnej gazety, gdy pewnego dnia w jego życie wkracza stary profesor.

**Dobre ebooki
w dobrej cenie**

**szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach**

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!

[Kup książkę](#)